

O LECZENIU KONI SUGESTIĄ czyli „KOŃ BY SIĘ UŚMIAŁ”

Widok tych zabiedzonych, udręczonych nieustannym świadem, wyleniałych i pokrytych strupami zwierząt, przywiódł mi natychmiast na myśl Hioba siedzącego w popiele i skrobiącego pokryte strupami ciało pękniętą skorupą.

W najgorszym stanie był mały siwy kucyk. Z jego brzucha zwieszały się żałosne strzępy długiej zimowej sierści. Potarmoszone kępy futra pokrywały też dolne partie nóg i kilka innych miejsc, których w żaden sposób nie był w stanie podrapać ani wyskubać. Na pozostałych częściach ciała sierść była niemal całkowicie wytarta, miejscami do gołej skóry, oraz pokryta przeczosami i suchymi strupami. Szczególnie dużo zmian znajdowało się w okolicy resztek grzywy. Obrazu nędzy i rozpaczki dopełniały zapanięte boki i sterzące żebra.

Kucyk stał smętnie przy drewnianym słupku nieustannie ocierając się o niego – to bokiem, to zadem, to pyskiem...

Pozostałe konie były w tylko nieco lepszym stanie. Stały parami, głowa-ogon, skubiąc się i drapiąc wzajemnie.

Jak pokazała dalsza obserwacja, świąd nasilał się podczas wilgotnej pogody, a nieznacznie zmniejszał w dni słoneczne i suche.



Choroba rozpoczęła się prawdopodobnie kilka miesięcy wcześniej, we wrześniu 2004. W ciągu dosłownie kilku dni dwa konie niemal zupełnie straciły grzywy. Wyglądało to tak, jakby ktoś poobcinał je tępymi nożyczkami na różną długość, jednak w większości tuż przy skórze. Początkowo podejrzewano nawet, że to sprawa miejscowego „Indianina” przygotowującego do letniego kramiku „etniczne” ozdoby (do produkcji których końskie włosie jest bezcennym surowcem). Wezwana na konsultację specjalistka rozwinęła jednak wszelkie wątpliwości: „Na pewno powycierały grzywy o żerdzie sięgając po trawę poza obręb padoku...” To brzmiało rozsądnie. Skóra

w miejscach pozbawionych włosów wydawała się zupełnie zdrowa. Wyłysiałe konie to jedyny w stadzie konik polski i jedyna arabka, przedstawiciele ras znanych z jednej strony z mocnego zdrowia, z drugiej – z niezwyklego sprytu i inteligencji; prowodzący wszelkich figli, uciezek i innych „kawałów”. Zławsza na „małą” nie ma mocnych. W poszukiwaniu „lepszej” (jej zdaniem) trawy już nie raz przechołała się pod żerdziami i niejednego stajennego wywiodła w pole otwierając nosem lub językiem wszelkie najsprytniejsze zamknięcia, rozplątując wę-



zelki itp. – a wszystko po to, by nawiązać do paszarni, oczywiście z bandą kumpli, których nigdy nie zapominała także powypuszczać. Tak, to do niej podobne – wydrzeć sobie grzywę tylko po to, by zdobyć tę, równie suchą jak na padoku, trawę tuż za ogrodzeniem. Zresztą przecież w boksie też zawsze pije z poidła sąsiadki (do żłobu nie sięga).

Minęła jesień, zaczęła się zima, konie spędzały dni i noce na pastwisku (są hodowane metodą otwartą z dostępem do stajni.) Wodę, owies (z wyjątkiem koników polskich i hucła), siano i okresowo marchew dostają na padok. W boksach są zamykane wyjątkowo, np. w czasie upałów, gdy atakują muchy itp. W ciągu kolejnych miesięcy nic się nie działo, albo zmiany były na tyle małe, że nie zostały zauważone.

W grudniu zmienił się stajenny, a w lutym konie wyglądały już tragicznie. Tak więc stan, który zastałam, rozwinął się w środku zimy, co w naszych stronach wcale nie oznacza śniegu, mrozu i lodu. Śnieg



widujemy tu z rzadka, zimą raczej dominuje wilgoć, temperatury są bliskie zera, hulają lodowate nadmorskie wiatry. Skojarzenie z Hiobem podsunęło mi myśl o zastosowaniu Psorinum. Konie otrzymały pojedynczą dawkę leku 9CH, która autentycznie podniosła je na duchu – już następnego dnia powitały nas radosne i uśmiechnięte. „Małej” wrócił figlarny błysk w oku, a gdy się do niej zbliżyłam, od razu swoim dawnym zwyczajem skubnęła mnie w ramię, po czym władowała mi pysk do kieszeni z takim impetem, że o mało nie znalazłam się na ziemi. To była mowa ciała: „ja tu jestem przywódcą, więc ty mi oddaj swoje śniadanie”... Choć konie skrobały się z nie mniejszym zapałem niż poprzednio, ich ciała „mówiły” już coś innego. Wczoraj powitały mnie smętnie zwieszonymi „uszami Kłapouszka”, co znaczy „jest nudno i beznadziejnie”, dziś – ich sprężyste sylwetki i postawione nasłuchujące uszy wyrażały nadzieję – ich i moją. Tylko siwy kucyk pozostał smętny i mieliśmy obawy, czy nie dolega mu coś poważnego. Był bardzo chudy i słaby, a ma już te swoje kilkanaście (nie wiadomo, czy nie więcej, bo nie posiada metryki) lat.

Od wszystkich koni pobrałam zeskrobiny (z granicy zmian, a raczej wytarc, bo zmiany pierwotnej nie udało mi się nigdzie znaleźć). Posłałam też do zbadania kał. Potem musiałam wyjechać na kilka tygodni, więc wyniki odebrałam dopiero po powrocie. W kale niczego nie znaleziono, natomiast z zeskrobin wyhodowano grzybka *Trichophyton sp.*

Znowu odwiedziłam stado. W międzyczasie konie otrzymały jeszcze 2 lub 3 dawki Psorinum. Zwierzęta były w lepszej formie, ale nadal się drapały. „Stare” wytarcia pokrywały się wprawdzie nową sierścią, ale widoczne też były pojedyncze nowe ogniska. Teraz było widać wyraźnie, że to faktycznie grzybica strzygąca. Zmiany były typowe: okrągłe, o średnicy 3-4 cm pokryte krótkimi, milimetrycznymi włoskami (jakby przystrzyżonymi maszynką). Ogólnie konie wyglądały lepiej i drapały się mniej (tylko kucyk był nadal „marny”), jednak podczas deszczowej pogody świąd bardzo wyraźnie się zaostrzał. Wtedy pomyślałam o Dulcamarze, którą zastosowałam w potencji C5, nieregularnie, przy zaostreniach świądu. Po każdej dawce leku konie jakby uspakajały się. Nadal od czasu do czasu się drapały, ale nie widać już było nowych ognisk, a stare stopniowo zarosły zdrową sierścią. W końcu „ruszył” także kucyk.

W ciągu następnych 2 miesięcy konie zupełnie wyzdrowiały. Oczywiście prócz zastosowania homeopatii zmieniono natychmiast stajenne. Konie były regularnie karmione i pojone (wcześniej prawdopodobnie nie; wiadomo na pewno, że w okresie roztopów były skazane na picie zbierającej się na łące deszczówki, a wiadomo, że świeża woda i pastwisko lub siano to podstawa końskiej diety) tak więc miały

lepszą opiekę, co też na pewno odegrało swoją rolę. Wyleczeniu sprzyjała też młoda wiosenna łąka z bogactwem ziół. Niemniej jednak poprawa była widoczna od razu, jeszcze przed nastaniem tych pozytywnych zmian w środowisku. Poza tym wg. opinii weterynarza, z którym skonsultowałam się zaraz po odebraniu wyniku, grzybica strzygąca jest wyjątkowo oporna na leczenie, nie wykazuje też skłonności do samoistnego ustępowania, a poza tym:

„Proszę pani! Bez leczenia (maściami itp.) się nie obejdzie!”

„Homeopatia? A tak, znam homeopatię: Na klebszce okład z klebszczy! Ha! Ha! Ha!”

No proszę. A tu minęła wiosna, lato, jesień, zaczyna się zima, a konie zdrowe! Mimo deszczy, wichrów i słoty.

I co Pan na to? Koń, by się uśmieł! Ichacha!



PS.

Ktoś może zadać pytanie: Dlaczego wszystkie konie dostały takie samo lekarstwo?

Oto odpowiedź: Okoliczności i objawy wskazywały na to, że mamy do czynienia ze zmianą stanu spowodowaną intensywnym czynnikiem o proporcji epidemicznej (typ A – patrz: „Duch Homeopatii”, R. Sankaran, rozdz. 19), a to uzasadnia taką ordynację.